



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1,00, bez Gazety \$1,50.

Za redakcją odpowiedzialne Pol. Lit. Tow. w Chicago. Listy i korespondencje adresować należy: Polish Literary Society, albo: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu "Dzień Święty" zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.
Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI:
Czwartek, 11 Października	Placydy p., Filoneli p.	Aldona.
Piątek, 12 Października	Maksymiliana b.	Grzmiśław.
Sobota, 13 Października	Edwarda kr.	Ziemisław.
Niedziela, 14 Października	22 po Św. Wincentego K.	Dzierzymir.
Poniedziałek, 15 Paździer.	Jadwigi księżn. szl., Teresy.	Długosiława.
Wtorek, 16 Października.	Florentyna b., Gawła o. w.	Radziśław.
Środa, 17 Października.	Wiktora m., Lucyny m.	Zytysław.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ DWUDZIESTĄ DRUGĄ PO ŚW.

Evangelia u św. Mateusza w rozdziale XXII.

Onego czasu radzili się Faryzeuszowie między sobą, jakoby Jezusa podchwycili w mowie. I posłali Mu uczniów swoich z Herodyanami mówiąc: Nauczycielu! wiemy, iżeś jest prawdziwy i drogi Bożej wprowadzie nauczasz, a nie dbasz na nikogo, albowiem nie oglądasz się na osobę ludzką. Powiedzże nam tedy, co Ci się zda, czy się godzi dawać czynsz cesarzowi, czyli nie? A Jezus poznawszy złość ich rzekł: Czemuż Mnie kusicie, obłudnicy? pokażcie Mi monetę czynszową. A oni przynieśli Mu grosz. I rzekł im Jezus: Czyj jest ten obraz i napis? Rzekli Mu: cesarski. Tedy rzekł im: Oddajcież tedy, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co jest Bożego, Bogu.

Panowanie Stefana Batorego.

(Dokończenie).

Rozpoczęła się tedy wojna moskiewska 1579 r., na czele 30 tysięcznego wojska wyruszył Batory na Moskali, i szedł ku Połockowi, owemu miastu, które to Dowojna przez nierozum był wydał Moskwie. Oddał król Janowi Zamojskiemu hetmaństwo nad wojskiem, a sam mu we wszystkim doradzał. Moskale chcąc swoją srogością zastraszyć, pozabijali żołnierzy co schwytali do niewoli, a przymocowawszy ich ciała do pniów, puścili rzeką Dźwiną. Polacy na takie okrucieństwo zapalili się jeszcze większą zemstą i kiedy jedni oblegali Połock, drugie wojska szły coraz głębiej w kraj moskiewski, zdobywając zamki i miasta. W Połocku bronili się Moskale uporczywie, bo mieli mocną wojskową załogę, ale ciężko im się było długo opierać tak wielkiemu wojownikowi jak Batory, bo ogniste kule coraz gęściej do zamku wpadały i wielkie szkody zrzędały; a mury pod strzałami armatniami w proch się rozsypywały.

Widząc Moskale, że już nie masz sposobu obrony, wysłali swoją starszyznę w prośby do króla. Stanąwszy przed królem bili w ziemię czołem Moskale, a Batory jak każdy odważny i szlachetny wojownik, co się nie pastwi nigdy nad zwycięzonymi, wszystkich co nie byli żołnierzami puścił wolno do domu, żołnierzy zaś kazał zabrać w niewolę, ale zabronił im robić jakiejkolwiek krzywdy. Moskale przyzwyczajeni do srogości, nie mogli się nadziwić takiej dobroci Polaków, a polska natura już od wieków taka była: że jak w boju biją śmiało i dzielnie, tak po boju obchodzą się ze zwycięzonymi jak z braćmi. I tak po 16 latach wrócił znowu Połock do krajów Rzeczypospolitej. Przez ten czas zdobyli także Polacy miasto Sokoł, którego zdobycie dla tego wam opiszę, abyście wiedzieli, jak starzy Polacy odpłacali dobrem za dobre, ale się też okrutnie mścili za krzywdę im wyrządzoną. Kiedy drewniany zamek Sokołu stanął w płomieniach i zatrabiono do boju, wtedy jeden oddział polskiego wojska 500 ludzi rzucił się na zamek. Skoro się Polacy przedarli,

spuścili Moskale żelazną kratę za nimi i wymordowali co do jednego. Widząc to, wyłamuje wojsko polskie kratę i rozpoczyna krwawą zemstę, tak że z kilkutysięcznej załogi moskiewskiej ani jeden żywcem nie uszedł. Kiedy też potem Polacy oblegli jakie miasto, to wzięli prawie bez wystrachu, bo Moskale wiedzieli, że jak się poddadzą dobrowolnie, to im i włos z głowy nie spadnie, a zaś za krew braci wylaną mszczą się Polacy okrutnie. Kozacy jak zawsze i w tej wojnie byli wielką pomocą wojskom Rzeczypospolitej. Przeszło 9.000 Kozaków ukraińskich stawilo się pod dowództwem owego dzielnego Czarnobylskiego. Przelatywał on w szerz i wzdłuż moskiewskie kraje szybko jak wiatr, a gdzie mu się tylko nawinęły mniejsze moskiewskie oddziały, to je bił i brał w niewolę, a kraju przytem niemało napustoszył i łupu nazabierał, tak że Moskale na wspomnienie Kozaków już drżeli ze strachu. Sam car, siedząc w mieście Stanicy, wysłał swoją żonę z dziećmi z obawy przed Kozakami i sam miał już łódź przygotowaną, aby uciekać rzeką Wołgą, bo kraj na półtory mili koło Stanicy stanął w płomieniach i Kozacy każdej chwili wpaść mogli do miasta, pobić wojsko cara i jego samego złapać do niewoli. Czarnobylski jednak nie uderzył na Stanicę, ale się zwrócił w inną stronę, aby przeciąć drogę wojsku moskiewskiemu, które szło ku Wielkim Łukom, obleżonem naówczas przez hetmana Zamojskiego. Car widząc, co się dzieje, słał do Batorego coraz pokorniejsze listy prosząc o pokój, i już nie chciał napowrót ani Inflant, ani Kurlandyi, ani Połocka i innych miast, co Polacy pozdobywali, a do tego przyrzekał, iż na zawsze poprzestanie napadać kraje Rzeczypospolitej.

Tymczasem Wielkie Łuki, o które carowi bardzo chodziło, Zamojski coraz bardziej wojskiem opasywał i mury gruchotał. Ale że to miasto było bardzo obronne, więc obleżenie dość długo trwało, tak że wojsko polskie zniecierpliwione, chcąc się prędzej do miasta dostać, bez rozkazu hetmańskiego wzięło się do zdobywania zamku. Widząc taką ochotę, Zamojski dodawał jeszcze serca odważniejszym. Przystawiali co prędzej drabiny i wdzierali się na wieżę zam-

kową. Było to wielkie niebezpieczeństwo, bo niechby ze zamku drabiną ruszyli, toby wszyscy, co na niej stali, pospadali na dół. Między piechotnymi był żołnierz wybraniecki nazwiskiem Wieloch rodem z Mazowsza. Wdarł się on najpierwszy na wieżę drewnianą i zaczął ją odzierać z darni, aby się snadniej jął ogień, za nim poszli drudzy i tak odkryli okno w wieży. Widząc to Moskale, zaczęli przez to okno do nich strzelać, ale Polacy rzucali znowu oknem co prędzej zapalone łuczywo i różne palne rzeczy, zaprawione smołą i siarką. Wkrótce stanęła wieża w płomieniach, a z nią i cały zamek, a hetman na czele wojska wyrąbywał bramy i wchodził do miasta. Po zdobyciu Wielkich Łuków żołnierz wybraniecki Wieloch został szlachcicem, a za powrotem do kraju podarował mu król piękny kawał ziemi.

Złączywszy się król z Zamojskim, poszli razem zdobywać zamożne miasto moskiewskie Psków. Miało to miasto załogi wojskowej do 50.000, a polskiego wojska nie było więcej jak kilka tysięcy, więc choć i Zamojski mądrze hetmanił i wojsko odważnie walczyło, to zdobycie Pskowa przeciągało się od tygodnia do tygodnia. Nadchodziła nareszcie i trzecia zima, jak Polacy byli na tej wojnie, ciężko było o żywność w opustoszałym kraju moskiewskim, i już głód zaczął się wkradać na dobre do obozu polskiego. Naradziwszy się król z Zamojskim i ze starszyzną wojskową, widzieli, że ciężko będzie przetrwać dłużej o głodzie, a gdyby odstąpili od oblężenia Pskowa, toby znowu Moskwę rozsuchwalili do ostatniego. Do tego jeszcze dłużyło się szlachcie do domu, a przytem jak wiecie każdy musiał żyć za swoje, więc wielom już i nie stało na to i ztąd niemało cierpień biedy. Zaczął się więc król skłaniać do ugody, o którą prosił car bezustannie, i przystał w końcu dnia 15 stycznia 1582 roku na zawieszenie wojny przez lat dziesięć. — Wrócili Polacy zwycięzcami do domu, a że Zamojski na tej wojnie bardzo mądrze hetmanił, dał mu też król za żonę córkę swego rodzonego brata, bardzo urodną i cnotliwą pannę.

Uskromniwszy się w Polsce, pojechał król do Inflant, aby zaradzić niejednej biedzie, w jaką kraj popadł przez dzi-

kie pustoszenie Moskali. Zbiegał się tam lud różnych stanów z prośbami do niego, tylko chłopci nie przyszli. Posłał więc król Batory do nich, żeby wybrali co najmędrszych między sobą i stawili się przed niego. Mówiliśmy już poprzednio, że lud inflantski był łotyckim, tak samo jak Prusacy i Litwini, a kiedy Krzyżacy ten kraj zagrabili, tak też zaraz lud miejscowy obyczajem niemieckim zubożyli, a nakoniec zrobili z niego niewolników, tak że chłop inflantski nic a nic swego nie miał, ale wszystko było własnością pana, któremu od wschodu do zachodu słońca jak jakie bydle pracować musiał. A niegodziwe Niemcy za byle co okrutnie chłopów karali, różgami nieraz na śmierć bili, a do tego mąż z żoną i dziećmi nie mieli osobnej izby, ale mieszkali wszyscy ludzie razem jak owce, ile ich się do izby wmieściło. Król rozpytawszy się o wszystko chłopów, powiedział im, że położy koniec tem wszystkiemu niesprawiedliwościom. Aż tu z wielkiem zadziwieniem króla padają mu chłopci do nóg i proszą, żeby nic nie zmieniał. Biedne chłopiska przez długą niewolę ociemnieli i przestali prawie być ludźmi, to też jak jakim zwierzętom wszystko było zarówno, choć żyli pod batem i w ciężkim jarzmie niewoli. Wielkać to kara Boża za to, że ludzie dobrowolnie stają się zwierzętami; cierpi taki lud wiele nędzy i wylewa dużo krwi i łez, a przecież Bóg stworzył wszystkich ludzi równymi. Snadnie się dorozumiecie, iż żał było królowi w takiej ciemnocie żyjącego ludu i choć sami nie pragnęli, umyślił im ulżyć w tym ucisku i nadał takie prawa, jakie mieli chłopci w całej Rzeczypospolitej.

Poskromił też król Batory i zuchwałość panów, którzy coraz bardziej na kiel brali, a niektórzy z nich nie pytali się wcale o prawa całego narodu, tylko sobie dokazywali, jak im się przyśniło. Zborowscy byli panowie i z rodu i z bogactw bardzo możni, a już tacy zuchwali, że wszystkim po głowach deptać chcieli. Otóż jeden ze Zborowskich, Samuel, zabił w złości szlachcica, za co został z kraju na całe życie wygnany, a gdyby nie wyjechał, miał być stracony. Jeździł Zborowski przez parę lat po obcych krajach, a potem wrócił do Polski i z całą zuchwałością pokazywał się wszędzie, pra-

wa lekceważył, bo on za wielki pan, żeby go sprawiedliwość osiągnąć mogła. Tymczasem Zamojski, jako najwyższy sędzia w Krakowie, naradziwszy się z królem, kazał złapać Zborowskiego, a chociaż się wszyscy jego krewni zlecieli, grozili i prosili, został Zborowski ścięty jak prawo kazało.

Królując tak Polsce szczęśliwie i sprawiedliwie przez lat piętnaście, umarł król Stefan Batory dnia 12 grudnia 1586 r. niespodzianie w Grodnie, żalowany szczerze od całego narodu. Śmierć jego nastąpiła wtenczas, kiedy się wybierał na wojnę przeciw Moskwie, chcąc ten dziki naród poskromić raz na zawsze.

Pierwsi ludzie na ziemi.

Świat powstał z niczego, stworzony słowem wszechmocnym świętego Stwórcy, który jest odwieczną miłością. — Wszechmocny Stwórca jest zarazem nieskończenie mądry, prawodawca całej przyrody, który wszystkiem rządzi i wszystko utrzymuje. Oto najszczytniejsza myśl, do której wznieść się mógł duch ludzki, której nie mógł mieć sam ze siebie, ale tylko z wyższego natchnienia, z objawienia Bożego. Bez tego człowiek błąkał się w ciemnocie, jak tego dowodzą pojęcia wszystkich pogan, stojących na najwyższym stopniu ludzkiej oświaty. Począwszy od starych Indów, którzy nie wiedzieli o stworzeniu, ale przypuszczali jakąś emanację, wpływ siły pierwotnej, widzimy wszędzie niedostateczne, niezadawalniające i poziome pojęcia. Nawet idealni Grecy przyjmowali zamięszanie odwiecznej materii, tak zwane: chaos, a ich Bóg tę materię umiał tylko uformować, ukształcić. Jedynie Pismo św. daje nam zupełnie zadowalniające wyobrażenie o Stwórcy i Panu wszechrzeczy, a wszystko, co On stworzył, jest dobre. Najwyższem szlacheństwem obdarzony jest człowiek, bo tchnieniem samego Boga, duszą nieśmiertelną. Wzniosłym celem człowieka jest utrzymanie obrazu Bożego, na który stworzony jest człowiek, przez opamiętanie bezrozumnej przyrody. Cała ludzkość złączona jest

jednym węzłem krwi, jedną stanowi rodzinę, w której wszystkie członki bez różnicy równymi są w oczach Boga.

Z organizmu pierwszego człowieka stworzył Pan Bóg niewiastę, jako równą jemu towarzyszkę, na to, aby oboje w jednym węźle rodzinnym jeden tworzyli organizm żywotny. Czyż może być wznioślejsze i świętsze pojęcie godności człowieka, jego przeznaczenia, małżeństwa i rodziny?

Zadanie człowieka polega na tem, aby z darów swych korzystał dla uwielbienia swego Stwórcy, aby według woli Jego panował nad stworzeniem i był szczęśliwym przez obcowanie z Bogiem, miłość ku Niemu i moralną łączność z wszystkimi członkami ludzkiej rodziny. W stanie niewinności nie potrzebował też człowiek pośrednika, ale bezpośrednio z Bogiem obcował.

Pan Bóg przeznaczył człowieka na pana, a nie na niewolnika ziemi; ma on nad przyrodą panować, a nie dać się opanować bezrozumnej materji. Skoro to ostatnie nastąpiło, skoro człowiek w bezrozumnej zarożumiałości chciał sam być jak Bóg, nadużywając wolnej woli, serce swe więcej zwrócił ku stworzeniu, jak ku Stwórcy, a ducha swego poddał w niewolę materji, musiał też doznać losu znikomej materji, musiał też popaść w moc śmierci. Jedne dary postradał, drugie zostały przyćmione: stracony został raj, rozpoczęły się niepokoje, cierpienia i boleści. Ognisty miecz sprawiedliwości Bożej zabrania człowiekowi przystępu do raju!

Ale miłość Boża równa się Jego świętości; Bóg nietylko sprawiedliwy, ale i miłosierny. Obraz Boży w człowieku może być przyćmiony i zeszpecony, ale nie zniszczony zupełnie. To też razem z karzącym wyrokiem, zapowiedział Pan Bóg zmiłowanie swoje, przyobiecał zesłać Zbawiciela, a kara, którą sprawiedliwość Boża wymierzyła, była zarazem łaską i dobrodziejstwem. Pot ciężkiej pracy jest tą solą, która człowieka zachowuje od zgnilizny, szkoła cierpień i boleści poucza go o wartości utraconego szczęścia, które znowu może odzyskać, budzi w nim jego pragnienie i jest zarazem pokutą za przewinienia i zasługą. Zabroniony użytek z drzewa,

utrata raju, a nawet śmierć ciała jest nie tylko karą, ale i dobrodziejstwem zarazem.

Aby pokazać ludziom, dokąd ich życie bez Boga doprowadza, nie zmuszał Pan Bóg ludzi gwałtownymi środkami do przyjmowania objawienia; też większa część ludzi, zaślepionych złością i namiętnościami swym poddanych, zabłąkała się do ciemnoty pogaństwa, a jeden tylko naród Bóg wybrał sobie, który przechować miał objawienie i pozostać Bogu wiernym, aby z niego wyjść mógł przyobiecany światu Odkupiciel. Ten lud wychowywał Pan Bóg jak ojciec dobrotliwy, błogosławił go i karał, oświecał i uczył, groził i pocieszał, wywyższał i poniżał; a prawa, które mu dał na górze Synai, pozostały jeszcze po trzech tysiącach lat podstawą prawodawstwa wszystkich cywilizowanych narodów. Znana nam jest historia ludu wybranego, ludu żydowskiego, znane są nam także dzieje pogan, stojących na wyższym stopniu oświaty, znane nam ich cnoty i ułomności, ich mądrość i głupota, a mianowicie wiadomo nam, jaka to w najdawniejszych czasach patryarchalnych była pomiędzy nimi prawda, były i cnoty przyrodzone, — zabytki tradycyjne po pierwszych ludziach z czasów objawienia, a jak później, im więcej się od tych pierwotnych czasów oddalali, tem bardziej popadali w zwierzęcą zmysłowość, brudy i cynizm, a wysoki stopień oświaty, nauka i sztuka, nie zdołały ich od tego powstrzymać, nie zdołały ich uszlachetniać. Paganie tem więcej się upadali, im więcej się oddalali od pnia pierwotnego. Z drugiej strony widzimy, że lud Boży stanowi jądro oświaty, a z pogan najpierwszą mieli oświatę ci, którzy najbliższymi byli sąsiadami tego ludu, jak Fenicyjanie, Egipcjanie, Medowie, Persowie i Babilończycy. Tam więc w Azji jest kolebka oświaty; rozszerzyła się ona po Azji, zanim przeniosła się do Europy, ślady tej oświaty mamy w zabytkach Indyi, a całą oświatę ówczesnych wieków, zachowaną do dziś dnia, mamy u Chińczyków, którzy na tej drodze przyrodzonej mądrości rychło prześcignęli sąsiadów swoich, odłączyli się od reszty świata nieprzebytym murem, a doszedłszy do pewnego stopnia oświaty, zgodnego z ich ciemnotą pogańską, stanęli na

nim i pozostali aż do dni dzisiejszych, w których Europa tarta się zaszczepić w nich swoją cywilizacją.

Im więcej ludzie oddalali się od swej kolebki i jądra oświaty, tem też w grupszą popadali ciemnotę i nieomal dzikość, i tych właśnie ludzi dzieje, którzy w dzikich krajach pozostawieni sami sobie, bez łączności z ludami już cywilizowanymi, sami się kształcić i cywilizować musieli, mniej są znane, i tym to dziejom kilka tu poświęcimy uwag. Zanim jednakże do nich przystąpimy, zastanowić się musimy nad kwestyą bardzo ważną i to nad pytaniem:

Czy istotnie wszyscy ludzie na ziemi pochodzą od jednego człowieka, od tej pary ludzi, których my, idąc za Pismem św., nazywamy pierwszymi rodzicami?

Pytanie to jest niesłychanie ważne, bo na oko zdaje się to rzeczą niepodobną. Ludzie dzielą się na rasy, a każda z tych ras wielu cechami różni się od drugiej. Aby poznać różnicę ras, przypatrzmy się im każdej z osobna.

Rasę kaukaską stanowią mieszkańcy Europy, zachodniej Azji i północnej Afryki. Cera ich biała, z rumieńcem na licach; włos miękki, jasny, ciemny, czarny; zarost na brodzie gęsty; twarz owalna, a czoło wypukłe. Jest to rasa najwięcej umysłowo uzdolniona.

Do rasy mongolskiej należą mieszkańcy środkowej Azji, Kałmukowie, Kirgizi, Mongołowie, Chińczycy, jako też mieszkańcy najbliżsi bieguna północnego w Europie i Ameryce: Lapończycy i Eskimosi. Cera ich żółta, czarny ich włos cienki i twardy, zarost twarzy słaby, twarz szeroka i płaska, z wystającymi kośćmi podskroniowymi, oczy małe, wązkie, ukośne, nos mały i płaski.

Do rasy etyopskiej należą murzyni, zamieszkujący całą Afrykę, z wyjątkiem północnego krańca. Mają oni cerę mniej więcej czarną, czarny włos wełniasty i kędzierzawy, głowa wązka z wystającymi naprzód szczękami, podczas gdy czoło płaskie i w tył posunięte; nos ich płaski a usta grube.

Rasa amerykańska odznacza się cerą gliniastą lub miedziano-czerwoną, niskiem czołem, wystającymi kość-

mi podskroniowemi, słabym czarnym włosem i słabym zarostem brody. Do tej rasy należą pierwotni mieszkańcy Ameryki, Indyanie.

Rasy malajskiej cechą jest cera brunatna i czarny, kędzierzawy włos, szerokie i wydęte usta, szeroki nos z wystającym naprzód czołem. Do niej należą Malajowie i mieszkańcy wysp południowego oceanu.

Prócz tych głównych ras mamy jeszcze rasy przejściowe, odznaczające się właściwościami jednej i drugiej rasy, n. p. mieszkańcy Australii mają wprawdzie cechę murzynów, ale nie mają ich wełniastego włosa, ani też silnej budowy ciała, jaką się murzyni odznaczają, lecz są wysmukli i nadzwyczaj zwinni.

Wobec tej wielkiej różnicy cery i budowy twarzy i głowy, sądziło wielu, którzy powierzchownie na tę rzecz się zapastrywali, że to niepodobieństwem, aby tak różniący się od siebie ludzie byli wspólnego pochodzenia. Pytano się więc: „zkaąd ta wielka różnica?” i dalej „czyż podobna, aby ludzie bez oświaty, bez wynalazków, odbywać mogli dalsze żeglugi i zaludniać Amerykę i wyspy oceanu?” Zastanawiali się nad tem także najuczeńsi i najslawniejsi badacze przyrody, jak Lineusz, Cuvier, Buffon, Humboldt i wielu innych, a na podstawie ich badań pokazało się, że różnice te nie są tak znaczne, jak się na oko zdaje, a wspólne pochodzenie ludzi bardzo dobrze można uzasadnić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TAJEMNICA SPOWIEDZI.

W Dublinie, stołecznem mieście Irlandyi, wspomina ze czcią każdy imię kapłana, który już od kilku lat nie żyje. Ks. F r a n c k — takie było jego nazwisko, — znany był ze swej miłości bliźniego ale okropny wypadek cnotę jego w najpiękniejszym przedstawił świetle. Rzecz miała się jak następuje.

Popołniono w Dublinie morderstwo, a przytem rozmaite

zbiegły się okoliczności, które na rodzonego brata ks. Francka rzucały podejrzenia, jakoby on to morderstwo był popełnił. Kilku świadków widziało porucznika Francka na miejscu, na którem morderstwo zostało popełnione; prócz tego znaną było rzeczą, że zamordowany żył z porucznikiem w nieprzyjaźni; nadto chciało nieszczęście, że koniec szpady porucznika był ułamany.

Napróżno wzywał oskarżony Boga na świadka swej niewinności — nic nie pomogło; pozór przemawiał przeciwko niemu i sąd skazał go na degradacyą i karę śmierci przez powieszenie.

Cios ten okropny najboleśniej dotknął serce kapłana. Chętnie byłby sam życie swe poświęcił, aby młodszego swego brata, któremu dotychczas zastępował miejsce ojca, obronić przed hańbą i śmiercią. Ale nic nie mógł uczynić. Gdy widział, że po sprawiedliwości ludzkiej niczego się nie mógł spodziewać, użył całej swej gorliwości, aby rozpaczającego brata przynajmniej usposobić do poddania się temu losowi, który mu Pan Bóg przeznaczył, i przysposobić nieszczęśliwego na śmierć szczęśliwą.

Zwolna uspokajał się porucznik, a duma jego ukorzyła się na myśl, że i Syn Boży, najniewinniejszy pomiędzy niewinnymi, wyrokiem niesprawiedliwym na śmierć skazany został. Ale mimo to okropnie mu było, że w najpiękniejszym wieku, z najlepszymi widokami na przyszłość, niewinny jak dziecko, uważany ma być i karany jako zbrodniarz pospolity. Tem gorliwiej kapłan pobożny gorące zasyłał modły ku niebu, aby Pan Bóg nieszczęśliwemu dodał odwagi i pociechy w okropnej śmierci godzinie. W przeddzień stracenia brata klęczał właśnie przed krzyżem w swoim pokoju, gdy usłyszał niepewne kołatanie do drzwi. Do pokoju wszedł nieznajomy mężczyzna, który przekonawszy się, że nikogo więcej niema w pokoju, poprosił kapłana, aby jego wysłuchał spowiedzi.

Kapłan zwyczajny podobnych odwiedzin w tym celu, zaraz był gotów, a nieznajomy rozpoczął spowiedź. Wyznał on, — jak to sam później podał do protokołu, — że owo morderstwo popełnił, i miał zamiar uciec za granicę, ale takich do-

znawał wyrzutów sumienia, że wprzód chciał się wypowiadać i to przed kapłanem, znanym ze świątobliwego życia.

Biedny ksiądz Franck bliskim był zemdenia. Ale poczucie obowiązku dodało mu siły i zaklinał nieszczęsnego człowieka na wszystko, co święte, aby jeszcze drugiej zbrodni nie dodawał do pierwszej i przynajmniej od śmierci wybawił niewinnego, który nazajutrz miał być straconym, bo to najpierwszym było sposobem naprawienia zbrodni i odpokutowania za nią.

Ale do tego nie dał się zbrodniarz nakłonić, sądził on, że dosyć już uczynił, jeżeli się swego grzechu wypowiadał.

Kapłan wszelkich używał środków, aby nakłonić nędznika do ratowania brata jego od śmierci, dopóki jeszcze był czas. Skoro jednakże morderca usłyszał, że skazany oficer jest rodzonym bratem kapłana, podskoczył jak zwierz rozjuszony, wydobył sztylet i pogroził: "Jeżeli mnie kiedy zdradzisz, tym sztyletem cię przebiję!" Chętnie dałbym się zamordować, aby niewinnemu uratować życie, ale wolałbym tysiąc razy umrzeć, jak choć słówko zdradzić z tego, co usłyszałem na spowiedzi — to, co powiedziałaś, pozostanie pomiędzy Panem Bogiem a tobą. Tylko proszę cię raz jeszcze, zastanów się nad tem, co to jest wydać niewinnego na śmierć!"

Zbrodniarz nie słyszał już ostatnich słów, wybiegł spiesźnie z pokoju i tylko jeszcze odgłos kroków jego słychać było z sieni.

Ks. Franck czuł, że nogi pod nim drżały, myśli w żaden sposób nie mógł zebrać, czuł, że siły jego złamią się pod naciskiem tego okropnego położenia, dla tego niezwłocznie udał się do Arcybiskupa, i oświadczył, że czuje się chorym, bardzo chorym, i że sobie życzy, aby podczas jego choroby kapłan go pilnował, bo obawia się, aby w gorączce febrycznej nie zdradził świętej tajemnicy.

Arcybiskup zmiarkował, o co chodziło, dla tego postanowił sam być pomocnym nieszczęśliwemu kapłanowi, i kazał mu w pałacu swoim przysposobić pokój, aby tam lepiej mógł obowiązek względem niego wypełnić. Ks. Franck zaledwie mógł się utrzymać na nogach, pomimo tego jednakże chciał

jeszcze po raz ostatni widzieć się z bratem i udzielić mu błogosławieństwa. Arcybiskup sam pojechał z nim w swoim powozie do więzienia.

Rozdzierający był widok dwóch braci, którzy po raz ostatni w tem życiu się uściskali. Porucznik w niemej boleści pogrążony, starał się zapanować nad sobą. Ostatnia rozmowa z bratem i Arcybiskupem była dla zakrwawionego serca jego gojącym balsamem. Ale wciąż powracała mu ta myśl: chciałbym chętnie umrzeć, gdybym tylko nie musiał umierać niewinnie! — “To właśnie”, rzekł Biskup, “powinno dla chrześcianina być źródłem pociechy. Umierać niewinnie, jak nasz Zbawiciel, to lepiej, jak być skazanym na śmierć dla zbrodni popełnionej; wszakże tak samo zamordowano Zbawiciela, zamordowano Apostołów jego, i zamordowano 13 milionów pierwszych chrześcian”.

“Ale imię moje uczciwe shańbione jest w oczach ludzi”.

“Tak, ale na szczęście Pan Bóg jaśniej widzi, jak ludzie, a sprawiedliwość jego to sprawi, że dobra sława twego imienia i pomiędzy ludźmi zostanie przywróconą. Przykro to — prawda — i okropnie, być tak w imię prawa i sprawiedliwości niewinnie zamordowanym, ale Ten, który nad życiem i śmiercią ma władzę, jest tak bogatym, że tę niedolę i strachy śmiertelne tysiąckrotnie w lepszym wiecznym życiu może wynagrodzić”.

Wśród płaczu i łkania uścisnęli się bracia po raz ostatni, a Arcybiskup zabrał ks. Francka do swego pałacu. Tu musiał się zaraz położyć do łóżka, a w nocy popadł w gwałtowną gorączkę. Kilka dni pozostał tak bez przytomności — było to szczęściem dla niego, że w ten sposób przeszedł dla niego dzień stracenia brata, którego tymczasem publicznie na placu zdegradowano i powieszono na szubienicy. W ostatniej godzinie przyjął on Sakramenta śś., w których zaczerpnął siły do zniesienia hańby i śmierci niewinnej z cierpliwością i podaniem się woli Bożej.

Chory kapłan mówił w gorączce bez przerwy o bracie, o szubienicy, o wieczności, o szczęśliwym zobaczeniu się w niebie, ale o swej spowiedzi, ani o niczem, coby na domysł jaki mogło naprowadzić, nie było wzmianki.

Arcybiskup dziękował Bogu z całego serca, że się nie stało to, czego się chory obawiał. On sam czuwał nad łóżem kapłana i z największą pielęgnował go troskliwością.

Zwolna przychodził kapłan do przytomności i do zdrowia, ale jeszcze przez długi czas był tak osłabionym, że lekarze za zupełne wyzdrowienie ręczyć nie mogli. Z czasem dopiero odzyskał dawniejsze siły, że mógł na nowo poświęcić się duchownej swej pracy, ale zawsze zdawał się być przynębiony ogromnem brzemieniem i tylko u Boga szukać mógł pociechy i ochłody dla serca zbolełego, bo tylko przed samym Panem Bogiem serce swe mógł wylać.

Od owego okropnego dnia upłynęło zaledwie dwa lata, a biedny kapłan — zdawało się — zestarzał się o jakie lat dwadzieścia, gdy razu pewnego nadeszło z jednego miasta w Ameryce do sądu w Dublinie pismo, w którym doniesiono, że tamże w szpitalu nędznie żywot zakończył człowiek, który w ostatnich chwilach wezwał sędziego i kilku świadków i zeznał protokółarnie, iż w Dublinie popełnił morderstwo, za które porucznik Patrycyusz Franck niewinnie został stracony. W protokóle było dalej zeznanie, że morderca przed ucieczką swoją wszystko na spowiedzi wyznał ks. Franckowi i nic nie chciał uczynić, aby nieszczęśliwego uwolnić od śmierci. Teraz, gdy ma stanąć przed sądem Bożym, zezna je to wszystko, aby naprawić, ile się da jeszcze.

Można sobie wyobrazić, jakie poruszenie list ten w Irlandyi wywołał. Czcigodny ks. Franck był przedmiotem ogólnej czci; ci nawet, którzy nie należeli do Kościoła katolickiego, dawali mu dowody podziwu i szacunku. I nie małą to było dla serca jego ulgą, gdy wyrok krwawy, który na bracie jego został spełniony, publicznie cofnięto i dobrą mu ławę uroczyste przywrócono.

Z tą pociechą doczesną jednakże nie może się równać nagroda, która sumiennego kapłana czekała w przeszłości.

Przytomność umysłu.

Kanclerz angielski, Tomasz Morus, zwiedzał razu pewnego wielki zakład obłąkanych Bedlam w Londynie. Dyrektor sam oprowadzał go po zakładzie, pokazywał urządzenie i zarazem najciekawszych chorób, których historią mu opowiadał.

Gdy byli w galeryi wydziału spokojnych obłąkanych, zawołano nagle dyrektora do szalejącego chorego, który dozorcę napadł i zamierzał go zamordować. Dyrektor natychmiast przeprosił dostojnego gościa i odszedł, pozostawivszy kanclerzowi na przewodnika jednego z cichych i łagodnych obłąkanych, który zupełnie zresztą był przy rozumie i tylko od czasu do czasu miewał dziwnie pokręcone wyobrażenia. Obłąkany oprowadzał też kanclerza najspokojniej, opowiadał mu najrozsądniej o rozmaitych chorych, aż wreszcie na końcu kurytarza poprosił go do pokoju, aby tu czekać na dyrektora, gdyż dalej rozpoczynał się oddział szalejących, a tamdotąd nie śmiał obłąkany gościa prowadzić.

Morus, któremu gawędka z chorym się podobała, nie przeczuwając nic złego, wszedł do pokoju; zaledwie jednakże próg przestąpił, zamknął obłąkany drzwi na klucz i z wszelkimi oznakami wybuchającego szaleństwa przyparł kanclerza do okna, które sześćdziesiąt stóp było wysoko nad ziemią, pokój bowiem znajdował się na piątym piętrze.

— Tu musisz teraz zeskoczyć! — zawołał obłąkany z iskrzącymi oczami.

Kanclerz wiedział, jaką olbrzymią siłą obdarzeni są obłąkani w chwilach szału, i że nie zdoła skutecznego stawić mu oporu, ale nie stracił przytomności umysłu, tylko odrzekł z pozornym spokojem:

— O, to nie sztuka, to każdy głupiec potrafi! Ale ja umiem, tego ani ty nie dokążesz, ani nikt w całej Anglii.

Obłąkany spojrzał zadziwiony.

— I co to takiego? — zapytał.

— Oto nic innego, tylko to, że z dołu z podwórza wskoczę do góry do tego okna, — była odpowiedź kanclerza.

— To nie prawda! — zawołał obłąkany.

— No, więc zrobimy zakład — odpowiedział kanclerz. — Jeżeli tego dokażę, to ty przegrasz i dasz butelkę wina, którą wypijemy razem z przyjacielem twoim, dyrektorem; a jeżeli nie wskoczę, to przegram, a ty będziesz mię mógł wygrzmocić aż do dziesiątej skóry.

Obłąkany uśmiechnął się radośnie na myśl, że kanclerza Anglii będzie mógł wybić.

— Jakże, zgoda? — zapytał Morus, podawając mu rękę.

Obłąkany przyjął zakład i drzwi otworzył. Obaj wyszli na kurytarz i w kilka chwil spotkali dyrektora idącego z dozorcą. Natychmiast Morus pochwycił waryata i kazał go dozórcom ująć, poczem opowiedział całe zdarzenie. Obłąkanego, u którego to szaleństwo po raz pierwszy wybuchło, osadzono w bezpiecznym miejscu.

Wypadek ten jednakże takie wrażenie wywarł na kanclerzu, że popadł w niebezpieczną chorobę, z której dopiero zwolna przyszedł do siebie.

F R A S Z K I.

Roztargnienie. Pewien niemiecki radzca stanu bywał nadzwyczaj roztargniony. Razu pewnego zaprosił go pewien hrabia wraz z licznym towarzystwem na obiad. Zaraz na wstępie zamyślił się radzca nad wyjazdem swej małżonki do wód, który wczoraj nastąpił, i zapomniał zupełnie o tem, że nie jest u siebie w domu. Naraz ku wielkiemu zadziwieniu obecnych wstaje i odzywa się:

— Szanowni państwo, wybaczcie, że rosół tak lichey, ale moja żona wyjechała do wód i nie ma kto dojrzeć!

Rozmówili się. Berek wchodzi do Szmula w sobotę wieczorem i widzi, że ten swojego wrzeszczącego syna wytargał.

— Po co ty go wytargał? — zawołał Berek.

— Po szabasie — odpowiedział Szmul.

— Ny, ale ja chcę wiedzieć za co?

— Za włosy.

— Ty mnie nierozumiesz; co chłopiec zrobił?

— On krzyczał „aj waj!”
